

ALFRED ARDEN.

# Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

13

Nie potrzebuję mówić, że tej chwili oczy nasze przeniosły się w jednej chwili z twarzy profesora na jego nakrycie głowy. Ah! jakże mogłem być tak ślepy... Teraz zrozumiałem tajemnicę złego smaku mego pizyjaciela i jego zamiłowanie do wielkich hełmów korkowych. Naturalnie! To proste! Wśród otworów w kasku przeznaczonych do wentylacji powietrza, znajduje się jeden, którym patrzy ku nam niewidzialne oko obiektywu! Genjalny jest nasz profesor! Teraz rozumiem, skąd się wzięły te dziwnie małe fotografie Ramy i skąd tajemnica, którą je otaczał Van Gelle! Zaiste nie wiedział nasz Hindus, że w jego przypadku sprawdzi się przysłowie: trafiła kosa na kamień. Wyobrażam sobie jego minę jutro, gdy mu Van Gelle objawi jego tajemnicę.

Te wszystkie myśli, jak błyskawica przeszły mi przez głowę, podczas gdy Van Gelle ciągnął dalej swoje wyjaśnienia:

— Widzę ze zdumionych spojrzeń, które krzyżujecie, że was zaskoczyłem moją rewelacją... Co Silvas?!... Nie masz się potrzeby wstydzić twego profesora! Bez fałszywej skromności zgodzę się z wami natychmiast, że mój pomysł można nazwać genialnym konceptem. Jak się już domyślacie zapewne, otwór w przodzie hełmu jest równocześnie obiektywem, przez który dokonują się zdjęcia. Widzicie te guziki na hełmie, które przytrzymują podpinkę?... Oto wystarczy nacisnąć z lekka prawy guzik, aby uruchomić aparat. Natomiast delikatnie przesuwając lewy można regulować nastawienie soczewki, w zależności od warunków światła i t. d. W odpowiedniej chwili poprawiam nakrycie głowy całkiem obojętnym ruchem i nikt z widzów nie domyśla się nawet we mnie podstępnego „kino-operatora”...

— Nadzwyczajne! — krzyknął Silvas. — krzyknęliśmy jednobrzmiącym chórem.

— Otóż niebawem aparat, gdy tylko wywołam wstążkę filmową, opowie nam najdokładniej co się działo z nami od chwili ujrzenia fakira, aż do tego „niesamowitego” powrotu w obręb hotelowego podwórza. Przez cały ten czas bowiem wierna celuloza rejestrowała swoim nieomylnym okiem to wszystko, czego nie byliśmy w stanie objąć naszymi zmysłami. I oto ona teraz przywoła nas ze świata niezdrowych omamów i złudy na twardej gruncie rzeczywistości życia.

— Brawo! — krzyknął Silvas. — To będzie dobrą nauką dla zarozumiałego Hindusa. Będziemy pękać ze śmiechu patrząc jak z kolei on wybałuszy oczy ze zdumienia!...

— Poczekajcie na mnie — rzekł wstając Van Gelle. — Powrócę tu za pół godziny. Dłużej trwać nie będzie wywołanie filmu!

Po tych słowach oddalił się do swego pokoju szybkim i wesołym krókiem. Kiedy znikł na schodach zapanowała między nami cisza... Po pierwszych chwilach radości spowodowanej rewelacją Van Gelle'a ogarnęło nas znowu uczucie niepewności i zdenerwowania. Nikt nie miał ochoty do rozmowy. Każdy przeżywał swój własny niepokój. Czuliśmy się dziwnie sami bez Van Gelle'a. Jak dzieci, które nagle zostały pozbawione opieki... Teraz stało się nam jasne, że to on nas krzepił swą duchową mocą podczas tych przeżyć, które mogły o obłąd przypaść najbardziej trzeźwego człowieka. Gdy znikł oto tam gdzieś w głębi schodów powrotną falą strach nam zalał serca. Nie słyszymy już jego drwiącego głosu, nie widzimy jego zimnych, ironicznych oczu. Wraz z nim ginie, zapada się dla nas jedyny punkt stały w tym chaosie wypadków i zdarzeń. Zatagał nami niepokój: a może on sam, a może jego aparat jest również sennym widziadłem, produktem rozbitego mózgu, ułudą wyobraźni obłądnej, szalonej?...

Siedzimy długo w milczeniu. Słuchamy tylko smutnego bełkotu fontanny, która szepleni nam w ucho jakąś straszną, niepokojącą opowieść.

Słońce przewala się już za horyzont. Gaśnie... Półmrok pełza. Wzdłuż kolumnady skradają się cienie. Cisza czai się w listowiu palm. Drży powietrze. Przeraził nas spokój... Jakaś nieuchwytna groza zawisła w przestrzeni... Wszystko czeka...

Jest tak cicho, że słyszę nerwowy tykot mego kieszonkowego zegarka.

Nagle zadzwieczał gdzieś ponad nami kamień pod uderzeniami kroków. Ktoś idzie... Tak, tam na ganku pierwszego piętra majaczy jakaś ciemna sylwetka... Van Gelle... Twarzy jego nie widać, ale poznajemy go po postaci i ruchach. Oddech ulgi... Ależ dlaczego, na Boga, idzie on tak przeraźliwie wolno? Podnosi nogi tak jakby dźwigał u nich jakiś straszny ciężar... Ślania się... Nie, nie to moje zdenerwowanie... A jednak widzę, naprawdę widzę jak kurczowo czepia się poręcz balustrady... Nie chcę widzieć, nie chcę myśleć... Nerwy moje są naprężone do ostatnich granic jak struny. Czuję to... Mam wrażenie, że lada chwila coś zerwie się, coś pięknie w moim mózgu. Przysmykam oczy... Słyszę ciągle kroki... Kiedyż wreszcie zejdziesz z tych schodów Van Gelle?

Każdy odgłos jak rozpalony ćwiek wbija mi się w serce... Czyż nigdy nie przewali się ta straszna godzina czekania?...

Wreszcie, wreszcie zbawczy szelest żwiru... Jest zatem już na dole Van Gelle. Podchodzi ku nam. Otwieram oczy... Wzdrygnąłem się... Przysmykam powieki i otwieram je znowu. Tak, to twarz Van Gelle'a. Ta trupio-biała maska, te szalone, niesamowicie rozjaśnione oczy, te nerwowo wykręcone usta — to twarz Van Gelle'a!... Czuję jak strasznie kurczy mi się serce... Nie serce, lecz kawał lodu, który czuję w piersiach...

Widzę jak profesor podnosi głowę, jak chwyta ustami powietrze, jak chce coś powiedzieć. I milczy... Wydaje się, jakby nie mógł dobyć z piersi głosu... Toczy tylko po nas przerażeniem oczyma

— Czy wiecie co mi pokazał aparat? — wychrapał wreszcie jakimś złamanym i nieswoim głosem. Rwały mu się zdania i plątały myśli.

— Wywołałem wstęgę... Żadnych obrazów... Żadnego fakira... Nic nie... Tylko pismo... Rozumiecie? Pismo... Zwitek pisma... W języku pali... W języku religijnym Tugów... Krótka historia tej sekty. Nic ciekawego... Same ogólniki... To co już wiemy... Żadnych szczegółów... Ani imion obecnych kierowników sekty, ani miejsca, gdzie się jej zarząd znajduje... A w końcu ostrzeżenie... Groźba... Że spotka mnie śmierć, rozumiecie: śmierć, jeśli będę starał się przeniknąć tajniki tej sekty... I nic więcej... Ci ludzie są wszechpotężni... Pobili mnie... Na głowę... Razem z moim „genialnym”

pomysłem. Przepraszam was za zdenerwowanie... Już jestem spokojniejszy... Zaraz ochłonę... To nietylko strach, ile wściekłość i poczucie zupełnej bezsilności. Rozumiecie: ja z całą moją nauką...

Przerwał w środku zdania i umilkł, ciężko dysząc... Milczeliśmy... Jakby rażeni piorunem siedzieliśmy bez ruchu w swych krzesłach. Miałem wrażenie, że świat się wali na mnie, że rozpada się z głuchym łoskotem. W uszach huczały mi dzwony... Ostatnim wysiłkiem woli starałem się zebrać myśli...

— Jak pan sobie tłumaczy — zdołałem wyjąkać — że wstęga filmowa zamiast rejestrować, to co się przed panem znajduje, zanotowała tekst w języku pali?

— Nie mogę sobie tego wytłumaczyć! — odrzucił Van Gelle z rozpaczą. — Dlatego właśnie czuję się bezsilny.

Ale widać było, że się opanował. Głęboka zmarszka na czole i skupione oczy mówiły, że dokonuje się w nim jakaś potężna praca myślowa. Po chwili też zabrał głos znowu, z namysłem ważąc każde słowo:

— Jest jedno tylko rozumne wytłumaczenie tej sprawy. Poprostu mój film oryginalny, od którego oczekiwaliśmy wyjaśnienia, został w niewytłumaczony sposób zamieniony na ów, który przyniósł nam ostrzeżenie od Tugów. Ale kto i w jakiej chwili mógł to uczynić — nie wiem. Zaznaczę, że jeszcze wczoraj mój aparat działał znakomicie. Dzięki niemu przecież zdobyłem fotografie Ramy... Mamy jedną uwagę: w tym kraju wszystkiego trzeba się spodziewać, na wszystko trzeba być przygotowanym.

— Co do tego ma pan całkowitą rację — rozległ się nagle jakiś głos tuż obok, brzmiąc głucho, jakby wychodził z pod ziemi.

Zadrżeliśmy... *Tak, to był głos Ramy...* Ale samego Hindusa nie było przed nami. Naprawdę toczyliśmy wokół siebie rozbieganem, szalonym spojrzeniem.

W tej chwili uczułem przypływ energii. Zdołałem się na wysiłek woli. Uniosłem się do połowy w mem krzesło i zwrócony w stronę, skąd niewidzialny głos zdawał się dochodzić rzuciłem rozpaczne pytanie:

— Co pan zamierza osiągnąć, motając nas w sieć swojej magii?!

Odpowiedziała mi bezbrzeżna cisza. Tylko na środku podwórza szemrała jednostajnie fontanna.

Oto rozbłyskuje zorza, gdy piszę te słowa. Za ścianą mego pokoju już nie słyszę kroków. Widocznie zasnął Van Gelle. I lampka w pokoju blaski już zgasiła. Chylę zmęczoną głowę.

Byłe nie myśleć o tem wszystkim!... Zasnąć, zasnąć!...

## ROZDZIAŁ VI.

### Pod władzą Ramy.

25 stycznia.

Dziwnym się staje mój pamiętnik. Piszę go już bez myśli o sobie, bez wrażenia, że będzie on dla mnie wspomnieniem odbytych przeżyć i wzruszeń. Nie wiem jakie będą jego dalsze losy. Nie wiem, czy ktokolwiek odczyta kiedykolwiek te karty... Jeśli odczyta i nie uzna mnie z góry za warjata, czemu nie dziwiłbym się wcale, jeśli zawierzy prawdzie moich przeżyć, które tutaj wiernie spisuję, jeśli ogłosi je drukiem to będą one dokumentem, który niejedno da do myślenia największym mężom stanu i nauki. Równocześnie będzie on wielkim głosem ostrzeżenia dla wszystkich Europejczyków, którzyby nieopatrznie chcieli iść naszym śladem w „zgłębnieniu tajemnicy Indji”.

Piszę zatem ten pamiętnik z poczucia obowiązku wobec społeczeństwa. Zapewne nie wielkie mam szanse, że dojdzie on do rąk właściwych. Nie większe niż każdym razie niż dowódca jakiejś ginącej wyprawy, który tajemnicę swych tragicznych losów powierza butelce puszczanej na zwodne fale morskiego bezmiaru. Liczę jednak tutaj na wszechmocny i niezbadany przypadek. Bo mimo wszystko losy tego pamiętnika są dziś pewniejsze niż los mego życia... Nie wierzę bym miał ujrzeć jeszcze Europę. Mam smutne przecucia. Jakże innego dziś nabiera brzmienia ta zlekceważona przestroga, rzucona nam w delhijskiej kawiarni i ten ostrzegawczy list, który nam w dzień podróży nadesłał nieznany i anonimowy przyjaciel.

Dziś chcielibyśmy się cofnąć, usłuchać przestrogi, zrezygnować z ambitnych zamierzeń... Ale któż z nas czuje się na siłach do tego?... Dzieje się z nami coś niesamowitego... Coś czego nie możemy zrozumieć. Szamotamy się bezsilnie w pętach, narzuconych nam przez obcą wolę. Płacemy się jak muchy w sieci, którą jakaś niewidzialna dłoń zacieśnia nieustannie nad nami. Czujemy to, zdajemy sobie z tego sprawę, widzimy, że jakaś strasza bezdeń rozkwiera się przed nami, a jednak, jednak idziemy w nią z zamkniętymi oczyma...

Stało się to dla mnie jasne po dzisiejszym zetknięciu się z Ramą... Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie w osobnym pokoju omawiając wypadki dnia wczorajszego.

— Jedno jest jasne dla mnie — powiedziała Blanka, — że musimy rozstać się natychmiast z Ramą. Oddawna miałam złe przecucia w stosunku do tego człowieka.

Zgodziliśmy się z nią wszyscy. Nikt nie oponował. Nawet Van Gelle w milczeniu przytywardził głowę.

W tej chwili zaszeleściła kotara oddzielająca nas od głównej sali jadalnej hotelu. Niby duch wyłoniła się z niej biała postać Ramy. Jakby wyczarowana naszą rozmową z pod ziemi. Zawisłszy pytającym wzrokiem na twarzy Hindusa, który schylił się w kornym ukłonie przykładając rękę do piersi i czoła. Potem przywitał się tak, jakby nic nie zaszło wczoraj między nami. Spytał o rozkazy... Siadł opodal stołu, kierując w nas ogień swego czarnego spojrzenia. Chciałem coś powiedzieć, krzyknąć, żeby się wynosił, rzucić mu pod nogi przyobiecana sakiewkę, napiętnować podłogę jego szluczek... Ale w tej chwili uczułem, że jakaś zatańska moc zamyka mi usta i paraliżuje wolę... Miałem wrażenie, że coś załamuje mi się nagle w mózgu. Jakiś szalony lęk chwycił mnie za gardło, lęk człowieka, który nagle czuje, że dzieje się z nim coś niepojętego. Kroplisty pot zabarwił mi czoło. Nie zdołałem wykrztusić najmniejszego słowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).